

RELACJA HENRYKA STAWRYŁŁO

nagrana przez
Sławomira Kowalczyka 28 lutego 1991 r.
w Warszawie.



Urodziłem się w 1925 r. Miejsce mojego urodzenia nie było ani siedzibą magnacką, ani dworkiem szlacheckim. Urodziłem się w miejscowości Kurkle powiatu Włkomirskiego, prawdopodobnie w dniu 29 sierpnia 1925 r.

Nazwisko mego ojca wskazuje na jego szlacheckie pochodzenie, z Litwy. Pradziadek mój uczestniczył w powstaniu listopadowym, dziadek w powstaniu styczniowym, natomiast ojciec służył w wojsku carskim. W czasie pierwszej wojny światowej znalazł się w formacjach, w okresie rewolucji, nad Dnieprem, w Kijowie, skąd próbował wydostać się do ojczyzny. Przybył do Moskwy roku 1919; starał się o uzyskanie prawa wyjazdu w rodzinne strony. Zamiast wyjazdu w rodzinne strony, po załadowaniu do wagonów towarowych, wieziono ich na wschód, w stronę Wołogdy, Ponieważ z gazet moskiewskich wiedział, że w Archangielsku znajduje się desant wojsk angielskich, a ponadto mieszkała tam ojca siostra z rodziną, postanowił uciekać z wagonów. Z pod Wołogdy, przez tundrę, przedostał się do Archangielska, gdzie początkowo Anglicy wcielili go do oddziału białogwardzistów, z którego się wydostał z trudem, dopiero wówczas, gdy pomógł mu w tym szwagier i gdy spotkał oficera baonu murmańskiego armii Hallera, która była włączona w skład tych sił alianckich. Wówczas rozpoczął służbę w wojsku polskim, na łodzi motorowej na Dźwinie. Był jednym z ostatnich, przewożących żołnierzy i oficerów w czasie wycofywania się desantu i następnie odpłynął okrętem wojennym francuskim do Anglii, z Anglii do Francji, do Havru. Z Havru, z armią Hallera, przybył do Polski w 1920 r., by wkrótce ruszyć znów pod Kijów, w ramach ofensywy wojsk polskich. W czasie odwrotu był kierowcą samochodów ciężarowych wojsk polskich. Uczestniczył w kampanii 20r. jako kierowca; zarówno w odwrocie, jak i w czasie bitwy sierpniowej pod Warszawą, przewożąc amunicję ze składów pod Radzymin. Następnie uczestniczył w bitwie niemeńskiej i

został ranny w końcowej fazie wojny. Przebywał w szpitalu w Warszawie; gdy wyszedł, wojna się skończyła traktatem ryskim.

Po zdemobilizowaniu wracał w rodzinne strony. Po drodze, w Białymstoku, poznał moją matkę, z domu Bohdziewicz. Później, w ślad za ojcem, przedostała się do miejscowości Kurkle, już przy zamkniętej granicy między Polską i Litwą.

Jako mniejszość narodowościowa polska na Litwie spotykaliśmy się z licznymi trudnościami. Polskich szkół podstawowych na Litwie już w owym czasie nie było, z wyjątkiem nielicznych - paru szkół w rejonie Kowna. Do szkół litewskich rodzice nie chcieli mnie posyłać. Najpierw, w ramach własnych możliwości, kształciła mnie matka, a później, w ramach korepetycji, nie dozwolonych przez władze litewskie, uczyły mnie uczennice polskiego gimnazjum z Wiłkomierza. W ten sposób, bez szkoły podstawowej, znalazłem się w polskim gimnazjum w Wiłkomierzu.

Na Litwie istniały trzy polskie gimnazja: w Wiłkomierzu, Kownie i Poniewieżu. Były to tylko polskie gimnazja, prywatne, nie subsydiowane przez władze litewskie, a utrzymywane ze środków miejscowej polonii i przy pomocy ze strony Światowego Związku Polaków.

W 1935/36 r. rozpocząłem naukę w polskim gimnazjum w Wiłkomierzu. Na terenie tych polskich szkół zapoczątkowana została działalność Związku Harcerstwa Polskiego, jako konspiracyjnego. Władze litewskie na legalny ZHP nie wyrażały zgody. Już w 1936r. rozpoczęło się życie w konspiracji. Zostałem członkiem ZHP. W Wiłkomierzu był początkowo pluton, a później drużyna harcerska. Pluton był podporządkowany kowieńskiej drużynie. Kierowali harcerstwem polskim dzielni uczniowie polskiego gimnazjum w Kownie, Zbyszek Skłodowski i Tadeusz Kugnowicki. Obaj zginęli w czasie II wojny światowej. Zbyszek Skłodowski został rozstrzelany w Ponarach, z wyroku gestapo, a z rąk litewskich funkcjonariuszy saugumy. Tadeusz Kugnowicki został prawdopodobnie rozstrzelany albo zginął w czasie nalotu w 1941r. w czerwcu, z chwilą rozpoczęcia wojny niemiecko - radzieckiej, albowiem w tym czasie był

aresztowany i przebywał w więzieniu w Kownie. [...]

W 1939r., z chwilą wybuchu II wojny światowej, byłem uczniem polskiego gimnazjum w Wiłkomierzu i członkiem ZHP w konspiracji. Wrzesień 1939r. przeżywaliśmy z początku, po ogłoszeniu przez Litwę neutralności, w zasadzie poza obrębem działań bojowych. Wkrótce na terenie Wiłkomierza, gdzie mieszkałem, pojawiły się pierwsze kolumny internowanych żołnierzy polskich i liczne rzesze uchodźców. Rozpoczął się okres intensywnej pracy społecznej w zakresie pomocy uchodźcom i internowanym. Były przerwane początkowo lekcje, później zostały wznowione. Byliśmy zaangażowani do organizowania miejsc do zakwaterowania uchodźców polskich, w polskich domach na Litwie, jak też i bezpośredniej pomocy przy rozdawaniu żywności, zbieraniu pomocy dla internowanych.

11 listopada 1939 r., do internatu, w którym mieszkałem, przy gimnazjum, przychodzili żołnierze polscy z obozu internowanych. Udawało się im wychodzić przez przecięte druty ogrodzenia. Na dzień 11 listopada wypożyczyli od nas biało-czerwoną chorągiew. Wywiesili ją nad budynkiem koszar, w których internowani przebywali. W związku z tym strażę litewskie strzelały do żołnierzy znajdujących się w oknach. Zostali zabici wówczas dwaj żołnierze, było kilku rannych; o losach rannych nie wiem. Zabici są pochowani na cmentarzu rzymsko-katolickim starym w Wiłkomierzu.

Rok 39 odznaczał się dużym ożywieniem działalności harcerskiej. Przybyli wówczas instruktorzy - harcerze z Polski, z chorągwi grodzieńskiej i wileńskiej; działalność naszego konspiracyjnego dotychczas harcerstwa zaczęła przybierać szersze kręgi.

Rok 1939/40 był ostatnim rokiem polskich szkół na Litwie. Władze Republiki Litewskiej zakazały prowadzenia polskich szkół, gdy polska ambasada opuściła Kowno [...]. Wiadomość o tym podano już w maju, natomiast 15 czerwca 40 r. na Litwę weszły wojska radzieckie. Tenże minister litewskiego rządu, Jokantas, który podpisał rozporządzenie o likwidacji polskich szkół, później w łagrach radzieckich spotykał się z dyrektorami szkół polskich i tłumaczył się ze

swoich ówczesnych postępów.

15 czerwca 1940 r. był dniem zakończenia roku szkolnego i równocześnie dniem wkroczenia wojsk radzieckich na Litwę. To był już ostatni dzień w polskiej szkole. Po otrzymaniu świadectwa wyruszyłem pieszo do rodzinnego domu, 30 km maszerowałem, spotykając kolumny wkraczających wojsk radzieckich.

Jesienią 40 r., na prośbę i polecenie harcerstwa, wyjeżdżaliśmy do miejscowości licznie zamieszkałych przez Polaków i zbieraliśmy podpisy, żeby reaktywować działalność polskiego gimnazjum, a ramach "internacjonalistycznego" państwa. Niestety, nasze starania były daremne i polska szkoła na terenach Litwy kowieńskiej nie powstał; do dnia dzisiejszego jej nie ma.

Nowy rok szkolny 1940/41 rozpocząłem już w gimnazjum litewskim, w tymże Wilkomierzu, podczas tzw. pierwszej władzy radzieckiej. Względnie spokojnie minął ten rok. W 1941 r. po zakończeniu roku szkolnego, nastąpił drugi okres - wybuch wojny niemiecko - radzieckiej. Tereny te znalazły się pod okupacją radziecką. Gdy w 41 r., jesienią, chciałem rozpocząć naukę w tymże litewskim gimnazjum w Wilkomierzu, już niedługo mogłem w nim przebywać. Nacjonalizm litewski, który był wyhodowany w okresie dwudziestolecia, dawał się we znaki w postępowaniu samej młodzieży szkolnej. W stosunku do wszystkich byłych uczniów polskiego gimnazjum były stosowane - przez kolegów - szykany. Mnie spotkał taki los, gdy w listopadzie 41 r. przyszedłem do klasy, do tych samych kolegów, z którymi cały rok 40/41 spędziłem w dobrej zgodzie, w komitywie, nie należąc do żadnych komunistycznych ugrupowań. Tylko dlatego, że byłem Polakiem, postawiono jednoosobową ławkę przy drzwiach i cała klasa, wskazując palcami, mówiła "getto dla Polaka". Wobec tego i spokojnego uśmiechu inspektora gimnazjum, który akurat w tym czasie wszedł do klasy i nie reagował na takie zachowanie, trzasnąłem drzwiami i opuściłem gimnazjum.

Minął rok pobytu u rodziców. W roku następnym, 42, rozpocząłem naukę w północnej części Litwy, w miejscowości Oniksztys (Anikszczaj po litewsku). W tej miejscowości złożyłem dokumenty jako były uczeń litewskiego gimnazjum,

więc mogłem w ten sposób ukryć swoją narodowość i próbować uczyć się dalej. Była to klasa siódma, przedmaturalna. Jeden rok 42/43, w zasadzie szczęśliwie udało się ukończyć.

W tym czasie nawiązałem kontakt z byłą organizacją konspiracyjnego ZHP, w ramach działalności Szarych Szeregów, a wkrótce później, po aresztowaniu i straceniu przez Litwinów Zbyszka Skłodowskiego, komendanta Szarych Szeregów na okręg litewski, zostaliśmy podporządkowani Armii Krajowej, podokręg Litwa Kowieńska. W tym czasie, będąc uczniem tegoż gimnazjum litewskiego, byłem żołnierzem AK, w obwodzie wilkomierskim, kryptonim "Wiśnie", jako jeden z żołnierzy łączności i kolportarzu prasy konspiracyjnej między obwodem wilkomierskim i poniewieskim.

Dopiero wiosną 1944 r. sytuacja moja znacznie się pogorszyła. W tym czasie władze niemieckie, w porozumieniu z litewskimi działaczami, zorganizowały formacje tzw. armii Plechavicziusa. Formacje te utworzone i uzbrojone przez Niemców, zostały skierowane do działań przeciwko Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Młodzieży szkolnej, która była w klasach maturalnych, jak ja, władze oświatowe zaproponowały - wszystkim mężczyznom zdolnym do służby wojskowej, przejście do oficerskiej szkoły armii Plechavicziusa, w zamian za zdawanie matury - dawało to uprawnienia do świadectwa maturalnego. Tak zachęcający sposób werbunku spowodował, że wszyscy chłopcy z mojej klasy dobrowolnie wstąpili do armii Plechavicziusa. Ponieważ kierownictwo Armii Krajowej, do którego się zwracałem z propozycją ewentualnego udziału, w celach wywiadu, z uwagi na mój wiek nie wyraziło zgody, zostałem w klasie sam, co równoznaczne było z dekonspiracją. W ławce szkolnej znalazłem wyrok litewskiej konspiracyjnej organizacji Lietuwos Łajsvieskowitzu Sajunga - Związek Walki Wyzwolenia Litwy, w którym było napisane, że ukończenia litewskiego gimnazjum nie doczekam, a jeżeli zostanie takie świadectwo sporządzone, włożą mi je moi polscy koledzy w ostygłe ręce. Zwróciłem się do dyrektora gimnazjum, porządnego człowieka, Litwina, pokazując mu ten dokument. Powiedział, że nie jest w stanie zapobiec ekscesom swoich rodaków, ale może mi pomóc tym, że mogę nie uczęszczać do gimnazjum ze względów

bezpieczeństwa, ale zdawać egzamina wówczas, gdy sesja egzaminacyjna się rozpocznie. Byłem mu za to bardzo wdzięczny. [...]

Po opuszczeniu gimnazjum poświęciłem się zupełnie pracy konspiracyjnej, służbie łącznika - gońca między obwodami, na odcinaku Wiłkomierz - Wilno - Poniewież, na terenach Litwy Kowieńskiej. Do czasu egzaminów; na egzaminy maturalne przyjeżdżałem do tej miejscowości. W tym czasie już litewskie formacje plechawiczowskie zostały przez Niemców rozformowane; część z nich się rozbiegła. Jedni zostali przez Niemców wywiezieni, inni z bronią puciekali. W tym czasie, kiedy zdałem ostatni egzamin maturalny i ośmieliłem się pójść ulicą wprost do swojego mieszkania, jeden z byłych plechawiczowców próbował wykonywać wyrok, niezbyt udolnie, bo udało mi się szczęśliwie uciec. Strzelił, chybił i sprawa skończyła się moją ucieczką z tej miejscowości.

Po świadectwo maturalne przybyłem dopiero w grudniu 1944 r., kiedy już te tereny znowu zostały zajęte przez wojska radzieckie. Rozpoczął się okres mobilizacji do Armii Czerwonej.

Po opuszczeniu gimnazjum, będąc wyłącznie w pracy konspiracyjnej, byłem zaangażowany w różne zadania, jakie były stawiane organizacji. Po złożeniu egzaminów maturalnych i po tym dla mnie udanym zamachu, opuściłem tamte tereny i udałem się na Wileńszczyznę, także w innych miejscowościach Litwy przebywając. Pomagałem w przeprowadzaniu ludzi zdążających do partyzantki, do formującej się tam w pobliżu granicy z Litwą II Brygady Wileńskiej pod dowództwem "Kaziuka", por. Wiktora Koreckiego (jak mi dziś wiadomo).

W czasie operacji "Burza" nie znalazłem się w składzie II Brygady, ponieważ wykonywałem inne zadania w terenie. Wydarzenia lipcowe w Wilnie były mi już znane, kiedy znalazłem się poza obrębem internowania przez wojska sowieckie i moi koledzy już byli wywożeni do Kaługi i innych łagrów, ja natomiast szczęśliwie tego losu uniknąłem.

Po powrocie w rodzinne strony znalazłem się w zagrożeniu mobilizacją do Armii Czerwonej, dlatego udałem się do tegoż gimnazjum w Oniksztach z próbą uzyskania świadectwa maturalnego. Udało się to uzyskać u bardzo

sympatycznego byłego wychowawcy klasowego, nauczyciela historii, pana Szumskiego. Wystawił świadectwo maturalne zmieniając datę urodzenia z roku 25 na 28, żebym mógł uniknąć mobilizacji do Armii Czerwonej. Z takim dokumentem udałem się do Wilna i podjąłem studia na wydziale prawa Uniwersytetu Wileńskiego, jako nie podlegający służbie wojskowej.

W początkowym okresie nawiązałem kontakt z resztkami organizacji likwidacyjnego stadium już Armii Krajowej. Pozostawał wówczas w Wilnie były szef inspektoratu A, czyli podokręgu Litwa Kowieńska, znany mi mój przełożony z czasów okupacji niemieckiej, mjr Wincenty Chrzyszczewski "Kruk", który po odjeździe ostatniego komendanta Okręgu Wileńskiego AK spełniał funkcję komendanta likwidacyjnego. Kontakt z nim jednak urwał się; został on aresztowany. Ja, między innymi zadaniami, miałem też polecenie mocnego uczipienia się terenu, w związku z tym pozostawałem nadal na studiach na Uniwersytecie.

W 1947 r. z różnych łagrów radzieckich uciekali, żołnierze i oficerowie AK. W ramach pomocy dla uciekających, w tym systemie organizacyjnym, jaki jeszcze wówczas istniał, jesienią 47 r. otrzymałem zadanie udzielenia pomocy trzem oficerom polskim zbiegłym z łagrów. Był to Tadeusz Sztumberk-Rychter "Zegota", szef sztabu, przez pewien okres dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji AK, oraz jego podkomendni: "Gzys" - Franciszek Pukacki, cichociemny, i "Mały", nazwiska nie znałem. Oficerowie ci znaleźli się w Kolonii Wileńskiej. Po nawiązaniu z nimi kontaktu dowiedziałem się, że proszą o udzielenie pomocy w przetrwaniu w terenie i przedostaniu się do Polski. Możliwości zorganizowania takiego przerzutu były prawie żadne, w zakresie moich ówczesnych możliwości studenta Uniwersytetu, człowieka młodego, powiązanego z pewnymi nićmi konspiracji. No, ale zadanie trzeba było wykonać.

Uzyskałem pewien kontakt z litewskim ruchem konspiracyjnym, z istniejącymi formacjami zbrojnymi litewskimi i próbowałem nawiązać z nimi współpracę w zakresie zorganizowania przerzutu, przekroczenia granicy, w czasie, gdy oddział zbrojny litewskiego ruchu oporu

spowodował by akcję zbrojną z wojskami ochrony granicy. To był 47 rok, jesień. Początkowo moje rozmowy były obiecujące, kontakty z miejscowymi litewskimi grupami utrzymywałem, ale w końcu, w październiku, otrzymałem odmowną odpowiedź. Jedyną pomocą, jakiej udzielono, to był kontakt, [w wyniku którego] za pieniądze udało się zrobić dowody osobiste dla wszystkich trzech oficerów, na zmienione nazwiska, poprzez komisariaty milicji.

Pierwszy taki dowód osobisty przygotowany został dla Tadeusza Sztumberk-Rychtera. Postanowiliśmy z nim spróbować zorganizowania przejścia granicy na własną rękę. "Gzyms" i "Mały" pozostali w Kolonii, ja zaś z Tadeuszem Sztumberk-Rychterem, po przygotowaniu odpowiednich przepustek i dokumentów, które udało mi się załatwić. Jako student równocześnie pracowałem jako sekretarz w Ministerstwie Sprawiedliwości republikańskim; to umożliwiało spreparowanie odpowiednich dokumentów do strefy granicznej, w ramach "wizytacji ministerialnej w przygranicznych rejonach". Z Wilna przez Kowno, do miejscowości Kibarty, na dawnej granicy Litwy i Prus Wschodnich, dotarliśmy w najbliższą strefę graniczną. Stamtąd, po wyjściu z pociągu, dwudziestokilometrowy odcinek pieszo, nocą, do miejscowości Biskitis, w rejonie jeziora Bisztynieckiego, przy styku dawnych granic polsko - litewsko - niemieckich. Sądziliśmy, że teren Prus Wschodnich będzie najlepszy do przekraczania granicy. Na miejscu, po rozeznaniu, przy pomocy jednego z rodaków, który przyjął nas bardzo serdecznie w swoim domu, ustaliliśmy, że dawne tory kolejowe i nasypy, prowadzące w kierunku Polski, były niezłym punktem orientacyjnym w terenie.

Noc z 1 na 2 listopada 47 r. Pożegnałem się z Tadeuszem Sztumberk-Rychterem po przekroczeniu rzeczki oddzielającej Litwę od Prus Wschodnich. Udałem się do Wilna tą samą trasą, zaś Tadeusz Sztumberk-Rychter próbował przekraczać granicę. Nie udało mu się, został przez strażę graniczną radzieckie zatrzymany, ale już do łagrów nie zwrócony, a przekazany władzom polskim. Spotkałem się z nim w r. 1957, po dziesięciu latach, gdy wróciłem z Syberii do Polski.

Wróciłem do Wilna. Miałem już dokument dla Franka

Pukackiego "Gzysa" na nazwisko Stankiewicz, z jego zdjęciem. Nie zdażyłem tego dokumentu mu przekazać, bo miałem go przy sobie w momencie, gdy zostałem aresztowany przez organa KGB. Utrudniło mi to trochę tłumaczenie się w pierwszym etapie śledztwa.

Aresztowany zostałem 17 stycznia 1948r. Przywieziono mnie z miejscowości Koszedary, gdzie przebywałem na delegacji, do ministerstwa Bezpieczeństwa w Wilnie, w dawnym gmachu sądów grodzkich; w czasie okupacji niemieckiej budynek gestapo, a KGB w owym czasie i do dnia dzisiejszego. Gmach ten znajdował się w kwartale ulic Mickiewicza, Ofiarnej, 3 Maja i Portowej. Od strony Ofiarnej były okna mojej celi, w podziemiach gmachu. Po wprowadzeniu do gabinetów śledczych i brutalnym potraktowaniu, próbowałem się jeszcze tłumaczyć, że jestem studentem i urzędnikiem państwowym. Po kilku przekleństwach, uderzeniach w twarz i w dołek pod klatką piersiową zorientowałem się, że coś tu nie jest w porządku. Wkrótce jeden z członków litewskiej [podziemnej] organizacji pojawił się w konfrontacji, więc mogłem się zorientować, że nastąpiła wsypa w litewskiej organizacji, która pociągnęła mnie za sobą w związku z kontaktami, które przygotowywałem organizując pomoc dla oficerów AK.

Śledztwo było dosyć długie, intensywne; przede wszystkim oparte na systemie bezsenności. W dzień ściśle pilnowano, żeby więzień nie usnął - nie wolno leżeć, zamykać oczu, strażnicy stale budzą, pukają. O godz.10 [...]zabierano do śledczych i całą noc, do rana, trwały mniej lub bardziej brutalne przesłuchania. Po kilku dniach zdolność percepcji, postrzegania już rwała się w strzępy; nad głową śledczego i na wszystkich innych przedmiotach pojawiały się kolory tęczy.[...]

Od 19 stycznia do połowy sierpnia trwało śledztwo. W połowie sierpnia zostałem wezwany z rzeczami z sali do dyżurki więziennej, gdzie zakomunikowano mi, że zostałem skazany na 10 lat łagrów za działalność kontrrewolucyjną, za zdradę ojczyzny radzieckiej i udział w organizacji konspiracyjnej, czyli 58, 1a i 11 kk RSFRR. Oczywiście, bez rozprawy sądowej, a tylko na podstawie decyzji OSO.

Po odczytaniu mi tego postanowienia zostałem przewieziony do słynnego więzienia wileńskiego Łukiszki, gdzie przebywałem już w ogólnych celach, od połowy sierpnia do końca września. 29 września z tego więziennia, z całą grupą więźniów zostałem przewieziony na dworzec kolejowy, gdzie załadowano nas do wagonów, tzw. stołypinek, więźniarek. Zdarzało się, że przebywało w jednym wagonie 27 - 28 więźniów. [...] Załadowani do wagonów wyruszyliśmy w nieznane - nikt nie komunikuje, dokąd wiozą. Podróż etapami, od jednego więzienia etapowego do drugiego.

Opuszczaliśmy Wilno w dzień św. Michała, w 48 r., pociąg wyruszył wieczorem, przez Witebsk, i znalazłem się w pierwszym etapowym więzieniu, w Orszy.

W więzieniu w Orszy były duże sale, część budynków murowanych, odbudowanych ze zniszczeń wojennych, w bardzo prymitywnych warunkach. Nie cele pojedyncze, ale duże, ogólne. Setki więźniów, w różnych kierunkach przewożonych. Charakterystyczne było spotkanie z akowcami, których odwożono w 48 r. do kraju; wracali z Donbasu, Kaługi. Zajmowali te cele, z których my wędrowaliśmy na wschód. Mogliśmy się tylko przywitać, pożegnać i życzyć sobie szczęśliwej podróży.

W Orszy, ponieważ jeszcze to było blisko granic ojczystych, rozpocząłem z grupą Litwinów zastanawiać się nad możliwością organizowania ucieczki. Niestety, próba ta nie dała wyników; prawdopodobnie agenturalnie zostaliśmy zdemaskowani. Administracja wybrała nas dosłownie w tej grupie, w której planowaliśmy ucieczkę. Przerzucono nas do celi więźniów kryminalnych, ażeby poddać nas odpowiedniej obróbce, po pozbawieniu ubrania, zapasów żywności - bo taki los spotykał po znalezieniu się w celi więźniów kryminalnych. Nam się udało lepiej, bośmy stoczyli pierwszy bój z więźniami kryminalnymi w przesylnym więzieniu w Orszy.

[fragment nagrania nieczytelny]

Z charakterystycznych scen pobytu w Orszy utkwił mi w pamięci incydent z młodocianymi przestępcami kryminalnymi, którzy byli ubrani bardzo lekko, mimo październikowych już wówczas chłódów, ale wybijali szyby w oknach krzycząc, żebyśmy zmarzli. My byliśmy ubrani wówczas jeszcze zupełnie

dobrze, w kożuchy czy też w inne ubrania. Chcieli nam w ten sposób dokuczyć. Te próby dokuczania ze strony nieletnich przestępców czy też próby kradzieży ubrań i zapasów żywności nie spowodowały dla nas żadnych szkód. Potrafiliśmy się obronić.

Następnego wieczoru zabrali nas z tego więzienia w Orszy. Stamtąd tę grupę podejrzaną o ucieczkę przewieziono bezpośrednio, pomijając nawet etapowe więzienia moskiewskie, aż do Swierdłowska. Na Uralu, w etapowym więzieniu, po bardzo krótkim pobycie, zostaliśmy przewiezieni do więzienia w Czelabińsku, a z Czelabińska do Pietropawłowska. Już zachodnia Syberia. W tym więzieniu etapowym oczekiwaliśmy przez okres ponad półtora miesiąca, do czasu przybycia pozostałych więźniów, których zostawiliśmy w więzieniu etapowym w Orszy, i jeszcze wielu innych.

Dla mnie jednym z charakterystycznych momentów była chwila spotkania rodaków w więzieniu etapowym w Pietropawłowsku, w dniu 11 listopada 1948 r. Do celi wszedł wysoki mężczyzna, jak się później okazało, pułkownik Konstanty Czyżewski, który był oficerem polskim internowanym na Litwie w 1939r., następnie udało mu się z obozu internowanych w Połdże wrócić do Wilna. Tu został aresztowany i w 1941 r. przebywał w więzieniu. Został wywieziony z wileńskiego więzienia na północ, do łagrów radzieckich, a stamtąd w 42 r. trafił do armii Andersa i był jednym z żołnierzy, uczestniczącym w organizowaniu punktu w Samarkandzie. Po wycofaniu się armii Andersa, w ostatnimj etapie jej wycofywania się do Iranu, został ponownie aresztowany przez władze radzieckie. Przebywał w łagrach Aktiubińska, a w tym czasie już był transportowany do obozów specjalnych. Od maja 1948r. rozpoczęto w Związku Radzieckim formowanie obozów specjalnych.

Cały ten system obozów specjalnych został wzorowany na niemieckich kacetach. Oprócz ogólnych obozów w Archipelagu GULAGu, jak to pięknie określił Sołżenicyn, istniały w tym czasie tworzone obozy specjalne. Tworzyły system sieci obejmujących cały teren Związku Radzieckiego. Były to obozy w europejskiej części: Workuta słynna zwana kryptonimem RECZ-łag, tereny Uchty, Kirowa jako MIN-łag, na południe, w

rejonie Mordowii, gdzie do dziś znajdują się zakłady karne, w których przebywają cudzoziemcy, w Mordowskiej Republice, tzw. DUBROW-łag wówczas. Następnie w Kazachstanie systemy obozów PIESZCZ-łagu, STIEP-łagu, ŁUG-łagu, KAMYSZ-łagu. Nadbajkalskie OZIOR-łagu, norylski -północ- GOR-łag, natomias Kołyma - BIER-łag. Tak, mniej więcej, można przedstawić zasięg tego systemu obozów. Są to systemy. Każdy taki system STIEP-łagu czy RE CZ-łagu dzielił się na łag-oddzielenia albo ołby, łag-oddzielenia dzieliły się na łag-punkty i w ten sposób cały ten system organizacyjny łagrów specjalnych spełniał funkcje nie tylko izolacyjną, nie tylko wyniszczającą, ale również doskonale zorganizowany system taniej siły roboczej, służącej do budowania wielkich budów socjalizmu.

Do takiego systemu obozów wędrowałem wówczas przez etapowe więzienia. W Pietropawłowsku - zachodniej Syberii, północnym Kazachstanie, trafiłem do dużego, sformowanego etapu, składającego się z całego składu wagonów towarowych - już nie stołypinek, nie więźniarek osobowych, ale cały transport kolejowy zamkniętych wagonów z pryzkami, z korytkami do załatwiania potrzeb fizjologicznych; nie ogrzewanych. Odbywało się w nich sprawdzanie liczby więźniów: o północy budzono, strażnicy młotkiem drewnianym każdego uderzając w grzbiet przeliczali, z jednej strony na drugą każąc przebiegać.

Z Pietropawłowska jechaliśmy kilka dni i nocy. Transport zatrzymał się w miejscowości w pobliżu Karagandy, w specjalnym etapowym obozie, tzw. Karabasie. W Karabasie były wykopane w ziemi doły, nakryte konstrukcją drewnianą zasypaną ziemią; tworzyły baraki, podzielone drutami kolczastymi w pewne zony. W tych barakach znajdowało się etapowe więzienie, przez które przechodziły grupy więźniów, kierowanych do systemu obozu PIESZCZ-łagu, STIEP-łagu, ŁUG-łagu czyli do tych systemów, o których wspominałem, a które zajmowały określone obszary geograficzne, w tym wypadku Kazachstanu.

Z obozu w Karabasie zostałem przewieziony do jednego z obozów w systemie STIEP-łagu. Obejmował on około dziesięciu obozów - obóz w Bałchaszu, w pobliżu chińskiej granicy, koło

jeziora Bałchasz; obozy w rejonie Dżezkazganu - kopalnie rudy miedzianej, rudnik 1 i rudnik 2; jako trzecie łag-oddzielenie Kengir, obóz, którego siła robocza budowała kombinat metalurgii kolorowej, elektrociepłownię i zapory wodne na rzece Sarysu - pustynnej rzece, której wody z topniejących zimowych wiosną śniegów były zatrzymywane, tworzyły zasoby wodne dla tego miasta i przemysłu. Bez tego zabezpieczenia woda rzeki Sarysu zbierająca się wiosną ginęła w pustyni latem; rzeka ta nie ma nawet swego ujścia.

Po wysłaniu jednym z transportów do obozu w Kengirze znalazłem się już w miejscu mego przeznaczenia. W ostatnich dniach listopada przybyłem do obozu Kengir, trzecie łag-oddzielenie STIEP-łaga MWD.

Wyładunek więźniów na rampie kolejowej odbywał się w sposób zbliżony nieco do tego, co oglądamy czasami na filmach o obozach koncentracyjnych. Szczekanie psów, strażę, karabiny maszynowe, cały rwetes związany z pędzeniem więźniów do obozu. W obozie baraki takie, jak w Karabasie. Wykopane w ziemi doły o konstrukcji drewnianej, osypanej ziemią; okna nad powierzchnią ziemi, a wejście w dół, po schodkach. Każdy taki barak miał dwa wejścia nie łączące się wewnątrz ze sobą, a z każdego wejścia były po prawej stronie jedna, po lewej druga, sale - cele, w których były ustawione piętrowe prycze. Kible w korytarzach. Na noc wejścia do baraków zamykano na zamki. Okna zakratowane. Rano otwierano zamki, sztaby z drzwi zabezpieczające wyjście; wyprowadzano więźniów do karmienia i do pracy. Wieczorem, po karmieniu, po przeliczeniu - pod zamek, do baraku.

Temperatura w Kazachstanie była bardzo zróżnicowana; to jest strefa pustynna, pustyni Bek-bak-dała (to jest w pobliżu obecnie znajdujących się słynnych kosmodromów Bajkonor). W owym czasie, jak ja tam przebywałem, kosmodrom Bajkonor był obozem Bajkonor, w którym, ku zdziwieniu więźniów, wydobywano bardzo biedne zasoby brunatnego węgla, wydawało się - zupełnie nieopłacalne. A to były sztolnie, które prawdopodobnie były potrzebne dla przyszłych kosmodromów. Ja w Bajkonurze osobiście nie byłem, znam to z opowiadań przewożonych więźniów, bo między łagami dokonywano często przemieszczeń, stąd też spotykaliśmy się z

więźniami.

Temperatura była w tych miejscowościach latem bardzo upalna, od kwietnia - w zasadzie najpiękniejszy miesiąc. Śniegi pustynne topnieją, spływają szybko rwącymi potokami; głodny step Bek-bak-dała, porośnięty jest piołunami, które zielenią się właśnie w kwietniu, a później, już w maju, słońce je spala i po stepie poruszają się potem ruchome karagandniki. Okres, kiedy piołun jeszcze jest zielony, to jest najpiękniejszy, w kwietniu. Później, po spaleniu [stepu] przez słońce, temperatura jest wysoka - w dzień dochodzi powyżej 30 stopni ciepła, niekiedy blisko 40, a noce i ranki bardzo chłodne, bo to głęboki kontynentalny klimat; prawie przymrozek jest po zachodzie słońca. Stąd też liczne wypadki chorób malarycznych wśród więźniów. Zima, zaczynając się dosyć wcześnie, już w końcu października, dosyć obfite opady śniegu. Silne wiatry tworzą zamiecie, tzw. burany; ale burany śnieżne. Natomiast latem także bywają burze wietrzne i burze piaskowe. Wiatry niosą piasek tak gęsty i tak obfity, że prawie duszący. Trzeba chronić nos, oczy, od piachu. Strefa klimatyczna zróżnicowana. I mrozy zimą dochodzące też, jak ciepło [latem], do 30 stopni.

Po przybyciu w ostatnich dniach listopada 1948r. do Kengiru znalazłem się początkowo, jak zwykle, w kwarantannie - w baraku kwarantanny, który wprawdzie nie był ściśle izolowany, ale jeszcze bez podziału na brygady robocze; a więc taki okres jak gdyby organizacyjny. Wówczas nawiązałem kontakt z miejscowymi ludźmi, m.in. poznałem wówczas pana Leona Łosia, autora książki "Drugi brzeg Oki", obecnie wydanej przez 'Edition', który wspomina o tych okresach i o tych miejscowościach. Wówczas widzieliśmy się bardzo krótko, bo jego wkrótce zabrano na inne szlaki, inne drogi, które on opisuje. Ja pozostałem w tym łagrze.

Warunki żywnościowe były bardzo złe. W tym czasie nie dawano nic innego prócz 50 deka chleba, gotowano zupę z liści pastewnej kapusty, czasem trochę przywożonych suszonych ziemniaków (tam nie rosły na miejscu) i solona ryba, z głowami, z ośćmi, to wszystko ładowano do tej kapusty i razem gotowano jako zupę. Gdyby tego było pod dostatkiem, to jeszcze by się człowiek bardzo cieszył; było

50 deko chleba i tylko miseczka tej zupy na śniadanie i na kolację, w zasadzie dwa razy dziennie. Na obiad praktycznie już nic - ten chleb, który pozostawał. Później wprowadzono taki mały czerpaczek kaszy z prosa; potem była jeszcze tzw. magara - to już późniejsze racje żywnościowe. Po roku chyba wprowadzono także racje cukru, łyżeczka herbatnia dziennie. Tak mniej więcej wyglądało żywienie.

Z ubraniem również nie było dobrze. Z własnego ubrania musiałem się sprzedawać, żeby zyskać jakiś dodatkowy kawał chleba; już w więzieniach etapowych trzeba było posprzedawać. Ostatnią swoją marynarkę sprzedałem w wieczór wigilijny 48 r., gdy pracowałem na obiekcie tzw. DOZ - Dzierewo Atdiełucznyj Zawod, a krócej mówiąc w tartaku. Sprzedałem tę marynarkę za pół bochenka chleba i to była uczta kolacji wigilijnej. Podzieliłem się nią z leżącym obok mnie na pryczy współtowarzyszem niedoli.

Pierwsze prace, jakie trzeba było wykonywać, to już przy niskich temperaturach, w grudniu temperatura dochodziła do 15 - 20 stopni mrozu; przy braku rękawic, przy braku obuwia właściwego. Buty z odpadającymi zelówkami trzeba podwiązać jakimś drutem, jeżeli się go znajdzie. Dostałem kożuch, który był tak wyprażony w odwszalniach, że zupełnie nie odporny; do niego guzików nie można było przyszyć, bo guzik się odrywał natychmiast z całą warstwą skóry. Jedna poła była dłuższa, druga krótsza; przy pomocy sznurka mniej więcej te poły można było połączyć ze sobą. W takim ubraniu, workiem obwiązując ręce, trzeba było pracować przy rozładunku wagonów, które przywoziły dłuższe tartaczne do tartaku. [Trzeba było] przenosić je na sztable, rozładowywać wagony. Głód skręcał kiszkę. Najgorzej, że to jeszcze człowiek nie przyzwyczajony. Kiedy jeden z m i ł o s i e r n y c h strażników pozwolił czasem ogrzać się do budki, gdzie sprzedawano dla wolnych ludzi tam pracujących chleb, to rzucone na ziemię skóry niezmierznie przyciągały oczy i trudno się było powstrzymać od upodlenia, ażeby z tego błota skóry nie podjąć. Takie fragmenty pozostają w pamięci.

Wkrótce, po pracy w takich warunkach, siły się zmniejszyły i, z uwagi na osłabienie, zostałem zakwalifikowany do tzw. OP - Atdychajuszczaja Partia

(odpoczywająca grupa). OP pracowała tylko wewnątrz obozu - przy czyszczeniu śniegu, kopaniu, ale nie musiała wychodzić do pracy na zewnątrz, poza zonę. Ale przeznaczenie pobytu w OP było bardzo krótkie, miesięczne; później następną komisją lekarską, która kazała nago przechodzić przed swoim obliczem i spoglądała, czy na pośladkach jeszcze jest mięso, warstwa tłuszczu, czy już go nie ma. To klasyfikowało do przydatności do pracy; mniej więcej tak, jak konia oglądali.

Po krótkim pobycie w OP zostałem przydzielony do innej brygady roboczej. Wspominam sobie bardzo ciężki okres. W składzie kontyngentu tego obozu specjalnego bardzo znaczną liczbę osób stanowili więźniowie pochodzący z Ukrainy, najczęściej powiązani bądź sami uczestnicy oddziałów UPA. Brygady robocze składały się z reguły z około dwudziestu więźniów, kierowanych przez brygadzystę, który był wolny od obowiązku pracy fizycznej; był organizatorem pracy. Był panem życia i śmierci tych swoich dwudziestu czy dwudziestu paru ludzi. Otaczał się grupą swoich, usługujących mu. Był przez administrację tolerowanym i wyciskał wszelkie siły i zdrowie z podporządkowanych mu więźniów. W mojej pamięci pozostał niesławnie Ukrainiec Mikitiuk, który był pierwszym moim brygadystą. Po zorientowaniu się, że jestem Polakiem, a że "Lachiw" nie lubił, to przeznaczył mi pierwsze miejsce przy kiblu na pryczy. Prycze były gołe deski; można było na nich swoje mokre spodnie czy coś posłać, żeby suszyć własnym ciałem. Buty - jeżeli jakieś porządniejsze, lepsze cokolwiek - trzeba było przynajmniej do szyi czy do rąk przywiązać, żeby ktoś w nocy nie ukradł. Nakryć się swoim kożuchem; czasami później już waciakiem, buszłatem. Potem kożuch spadł mi z plec, więc dostałem waciak i takie drelichowe ubranko więzienne. Kurtkę miałem przez sześć lat tą samą; nigdy jej nie prałem, nie myłem, więc w ciągu sześciu lat zrobiła się jak impregnowana - nawet deszczu nie przepuszczała. Gdy po sześciu latach zdecydowałem się ją wyprać, to rozpląnęła mi się w wodzie.

Ratunkiem rzeczywiście wielkim była sprawa odwszania. Co dwa tygodnie prowadzono do łaźni. Nie łaźnia była przyjemnością, ale to, że odzież całą pakowano do gorących pieców; rzeczywiście od wszy się można było ustrzec, ale

odzież nabierała takich właściwości, jak wspomniałem z tą moją kurtką.

W brygadzie Mikitiuka życie nie było łatwe. Praca ciężka; pracowałem wówczas przy kopaniu dołów pod fundamenty budynków mieszkalnych. Na otwartej przestrzeni, mróz, wiatr pustynny. W sąsiedniej brygadzie pracowało dwóch księży polskich: ksiądz Aleksander Bień, do dziś jeszcze żyjący w Kazachstanie jako proboszcz parafii niemieckiej w Akmolińsku i w Kokczetau, oraz ksiądz Stanisław Szczypta spod Zytomierza, już obecnie nie żyjący. Byli moimi sąsiadami, kopiącymi ten sam dół w tym czasie.

Praca trwała bardzo długo. Wyprowadzanie z obozu rozpoczynano około godziny 4 rano. Po karmieniu zupą i wydaniu porcyjki chleba odbywał się długi pobyt na placu apelowym, formowanie brygad do wyjścia do pracy. W pierwszym okresie jeszcze grała orkiestra, ażeby było nam przyjemniej w tak radosnym życiu. Później zaniechano tego niemieckiego zwyczaju, z kacetu wziętego, i obywało się już bez orkiestry. Można było sobie tylko śpiewać "jak można się nudzić, jak można marudzić, że świat jest smutny, że jest źle; nie rozumiem, nie. Jak można faktycznie, na świecie jest ślicznie, kto nie wie, niech przyjdzie tu."

Z placu apelowego kolumny więźniów po sto osób odrębnymi grupami, strzeżonymi przez uzbrojone wojska NKWD, z psami, karabinami maszynowymi, z strzelcami po bokach, na przodzie, z tyłu - maszerowały do miejsc pracy. [...] Często kilka, nawet do 10 km - do 10 km to już często przewożono, ale w granicach 3 - 4 km marszu przez pustynne stepy; kolumny maszerujące jak węże, wijące się w pustyni w różne strony, do miejsc pracy. Strażnicy konwojujący każdorazowo zawsze po odliczeniu i przeliczeniu więźniów, wygłaszali sakramentalną formułkę w języku, oczywiście, rosyjskim: "Wnimanije, zakluczonnyje! Idti w straju, nie razgawarywat', nie agliadywat'sia, s ziemi niczewo nie padnimat'. Szag w lewo, szag w prawo szcитайem pabiegom. Kanwoj primieniajet arużje bez prieduprieżdzenia. Jasno?" Wszyscy musieli odpowiedzieć chórem "jasno!" Ponieważ źle odpowiadali, to kazał powtarzać jeszcze raz. A jak już był zadowolony komendant konwoju, to wtenczas mówił "wziat'sia pod ruki!"

(trzymać się pod ręce). Natomiast w brygadach karnych, w których później przebywałem również, tam już nie "wziat'sia pod ruki!", tam po dwóch spinano kajdankami.

Marsz kolumn trzymających się pod ręce i nie oglądających się, ciągnął się przez step. Z pokrzykiwaniem "bystriej! podtianis'!" itd. [Tak odbywało się codziennie].

Po dotarciu do miejsca pracy przechodziło się znowuż w pełną władzę brygadzisty. Konwój wpuszczał do ogrodzonego terenu miejsca pracy, na posterunkach stali strażnicy ochraniający. Strefy ochronne, ogniowe, druty kolczaste otaczające obiekt pracy, a tam już brygadzista przydzielał pracę. Narzędzia tam były wydawane; trzeba je było później zdawać i rozliczać się. Praca trwała 12 godzin; trwało bardzo długo, bo potem było liczenie. A jeżeli wielki obiekt i dużo więźniów - bywało przecież około 10 tysięcy ludzi wyprowadzonych do pracy z jednego łag-punktu; na obiekcie czasem 1 - 2 tysiące ludzi pracujących. Zanim wszyscy się zbiorą, oddadzą swoje narzędzia, potem konwój zliczy, czy kogoś nie zabrakło, a potem zabrakło, a pomylili się licząc ... Cała ta procedura trwała bardzo długo, niezależnie od pogody; konwój już po przeliczeniu, żeby się nie pomyliło, kazał w błoto siadać - "sadzis'!"... Dopiero jak wszystko dobrze policzono, wówczas - marsz z powrotem. Po dotarciu do obozu nie było takie proste, żeby wprost wrócić przez bramę do miski i łóżka. Dopiero zaczynała się rewizja osobista każdego więźnia; codzienna, przez miejscowe straże obozowe. Latem trzeba było nawet się rozbierać, zimą tylko się rozpiąć. Obszukiwano, czy czegoś nie niosą ze sobą. Dopiero po rewizji osobistej, po przeliczeniu, wracało się do obozu po to, żeby otrzymać miskę gotowanej zupy kapuścianej, a potem być przeliczonym i znaleźć się w zamkniętym baraku. Do następnego rana. Tak mniej więcej, krótko, wyglądał "jeden dzień Iwana Denisowicza", jak to określił Sołżenicyn w swojej noweli, zresztą bardzo dobrze opartej na realiach życia w tym okresie.

Wracając do moich osobistych wspomnień - w brygadzie Mikitiuka wiodło mi się bardzo źle. Po pewnym okresie czasu byłem już bardzo wycieńczony, ważyłem niewiele więcej ponad 40 kg. Ciężko już było. Nawet ... w dniu 9 maja rozważaliśmy

próbę rozpaczliwej ucieczki, która nie rokowała specjalnych nadziei, ale sądziliśmy, że może poza strefę obozu. We trójkę udało się uniknąć zamknięcia pod zamek. Przy przeliczaniu zastąpili nas inni, bo takie sposoby też były, wynalazczość człowieka jest ogromna, ale nie udało się sforsować zony obozu i szczęśliwie - bo nieudane forsowanie kończyło się połamaniem często żeber czy odbiciem innych narządów wewnętrznych. To, że się nam nie udało, muszę uznać za rzecz bardzo szczęśliwą; jeszcze i z tego względu, że w tym samym czasie moi rodzice, których pozostawiłem w rodzinnych stronach, na własnym gospodarstwie, w miejscowości Kurkle, już w marcu 49 r. zostali wywiezieni na zesłanie do obwodu Irkucka. Ja bym nie wiedział, gdzie są oni, a oni by mnie nie mogli znaleźć, bo byłbym przerzucony do innych łagrów, gdybym był złapany gdzie indziej. Gdybym się wydostał, to też nie wiem, czy bym ustalił, gdzie oni są. Powrót mój do baraku był dla mnie wówczas bardzo psychicznym załamaniem, że się nie powiodło, ale w zasadzie szczęśliwym.

Wkrótce maj i okres upałów. Warunki, w jakich przebywaliśmy, doprowadziły do tego, że obóz cały dziesiątkowała dezynteria. Krwawa biegunka, dziesiątkująca brygady robocze. Masy ludzi leżały na pryczach; jak tylko tracili przytomność i siły, to byli wynoszeni do trupiarni. Z trupiarni wynoszono na wzgórze, gdzie zakopywano zmarłych w jamach.

Przy mojej kondycji wkrótce też dostałem krwawej biegunki i znalazłem się na pryczy szpitalnej. Traciłem świadomość - pamiętam ostatnie chwile już dosyć błogie i na tym "urwał się film", jak to się mówi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazłem się, odzyskałem świadomość, w zupełnie dla mnie nierealnych warunkach, gdzie było czyste jakieś łóżko, firanki, kobieta w białym kitlu... Okazuje się, że gdy byłem wyniesiony do trupiarni, więzień spełniający funkcję gospodarczego sprawdzał kieszenie przyszłych trupów i w moim znalazł list od rodziców. Okazało się, że znał mojego stryja, u którego, będąc uczniem gimnazjum w Poniewieżu, mieszkał na stacji. Sądząc, że jestem widocznie jednym z synów jego byłego gospodarza, zainteresował się osobiście. Mając znajomości z miejscowymi lekarzami i administracją, załatwił,

że mnie z trupiarni zabrano do szpitala w żeńskim obozie politycznych więźniarek; w "Pierwszym" łag-punkcie tegoż łag-oddzielenia kengirskiego. Tam oddał pod opiekę więźniarki, która była pielęgniarką w tym obozie, pani Aldony Toczyłowskiej. Odzyskałem świadomość, tam były zastosowane leki - disulfan. W męskiej zonie żadnych leków umierającym ludziom nie przydzielano; jedynym lekarstwem, jakie było stosowane, caluhypermanganicum do picia. To jedyny lek. Kto przetrwał - przetrwał, kto nie przetrwał - to jego biznes. Ten pan, Witold Grotkowski, [dziś] już nie żyjący (wówczas on uchodził za Litwina, Gratkauskasa, zresztą na Litwie zmarł) uratował mi życie, załatwiając jakoś tam, w trybie obozowych kontaktów, moje przeniesie do szpitala w tej żeńskiej zonie obozu.

Po powrocie ze szpitala tenże gospodarczy szpitala również zaczął mi udzielać pomocy w postaci dodatkowej miski zupy, co ratowało i wzmacniało mnie znacznie, a ponadto i moją pozycję w brygadzie poprawiło. Udało mi się wyrwać z rąk brygady Mikitiuka. Trafiłem do brygady ciesielskiej i stałem się cieślą.

Moja zasada życia w obozie - opierałem ją na zasadzie z czasów okupacji, głoszonej przez Radio BBC: "zwalniaj tempo pracy. Każde uderzenie młota zwiększa moc i potęgę wroga, który cię gnębi." Wobec tego ja także starałem się zwalniać tempo pracy i uważać, że co mam zrobić dziś, zrobię jutro, a co mam zjeść jutro, zjem dziś. Dzięki temu trochę udało mi się opanować zasady życia w warunkach łagrowych i poprawić swój status i w brygadzie w pracy, i w życiu łagrowym. Oczywiście ta pomoc w postaci miski zupy była jeszcze dodatkowym czynnikiem ratującym.

W takich mniej więcej warunkach życia i pracy przebiegały następne lata, 50 rok... W tym okresie charakterystyczny był czas, kiedy władze radzieckie zniosły stosowanie kary śmierci w wyrokach sądowych. W tym obozie wśród więźniów politycznych byli włączeni najbardziej niebezpieczni więźniowie kryminalni - uczestnicy bandyckich napadów, morderstw w szerszej skali; oni również, oprócz upowców, byli wyznaczani na stanowiska brygadzystów. Prowadziło to do znęcania się przez samych więźniów nad

innymi więźniami. Takim klasycznym przykładem jest podział cukru dla więźniów. Jak wspomniałem, w pewnym okresie, od początku 1949 r., wprowadzono łyżeczkę herbatnią cukru. Ale przydzielano ją na brygadę i na 10 dni. Dziesięć łyżeczek na jednego; dla dwudziestu więźniów to już był mniej więcej woreczek cukru, koło kilograma. Odbierał to brygadzysta ze swoimi najbliższymi - z ludźmi, którzy mu czyścili buty, czynili wszelkie usługi. Oni to odbierali, przynosili do baraku i więźniom ze swojej brygady mówili "przychodźcie po odbiór cukru". Do czego ten cukier? Jakąś szmatkę - żeby go wziąć, w garść przecież nie wsypie dziesięciu łyżeczek. Jak ktoś odważył się podejść, to go bito w twarz, kopano na raz, pod prycze, i pytano, kto chce następny cukru? Chętnych nie było. -"Jak nie ma chętnych, to sami zjemy." I zjadali ten cukier na naszych oczach.

Straże obozowe - wojska NKWD, uzbrojone, nie wchodziły w strefę obozu, tylko w strefę zewnętrzną. Natomiast wewnętrzna ochrona bez broni polegała na funkcjonariuszach straży, którzy interesowali się tylko przestrzeganiem regulaminu, karami, ale nie takimi zjawiskami, jak postępowanie brygadzystów. To było dobrze widziane i normalne.

Jeszcze w dodatku skomplikowany proces ludzi, którzy szli na współpracę agenturalną dla tzw. "kuma". Kumem nazywał się operupełnomocnyj - pełnomocnik operacyjny KGB do spraw politycznych, który mógł zrobić dodatkową sprawę karną za coś jeszcze, jakieś przesłuchania, ukarać więźnia, zmuszać do spełniania agenturalnej pracy. Nazywano to w języku rosyjskim "stukacz", od słowa, że puka do gabinetu operupełnomocnowo, stuka. Stukacz, donosiciel.

Plaga donosicieli, brygadziści znęcający się nad więźniami, marne racje żywnościowe, ciężka praca, złe warunki klimatyczne wyniszczały ludzi i stwarzały atmosferę rzeczywiście trudną do zniesienia.

I w tych to mniej więcej warunkach, w początku lat 50, zaczęły się pewne zaczątki organizacji ruchu oporu więźniów. Mój styk z ruchem oporu był właśnie w obozie kengirskim.

Akcja ruchu oporu, która się zarysowała, była zapoczątkowana przez Ukraińców; przez rozsądnych, nie tych, oczywiście, którzy poszli na współpracę z administracją

obożu, znęcali się nad innymi. Wśród Ukraińców również byli ludzie rozsądni, mający widocznie kontakt jeszcze wcześniej z innymi obozami. Zapoczątkowali pierwsze kontakty między grupami narodowymi. Pierwszy sygnał, pochodzący od grupy ukraińskiej, dotarł do mnie przez jednego z naszych rodaków, który zaproponował nawiązanie kontaktów. Po spotkaniu z pozostałymi Polakami, którzy w tym obozie się znajdowali, ustaliliśmy, że takie kontakty nawiążemy. Zostały utworzone grupy narodowe w postaci pewnego rodzaju stowarzyszeń zaprzysiężonych, a każda grupa robocza wyznaczała łącznika do kontaktu z innymi grupami. Łącznicy grup stanowili pewnego rodzaju ośrodek tego ruchu oporu. Przy tak rozwiniętym systemie donosicielstwa i tak trudnych warunkach, jak w życiu obozowym, gdzie wszystko otwarte, sytuacja była niełatwa. Władze obozowe zwracały przede wszystkim uwagę na byłych oficerów, intelektualistów; mniej zwracano uwagi na robotnika zwykłego. Główny trzon organizacyjny staraliśmy się ukrywać wśród ludzi mało widocznych. W czasie, gdy represje, często po jakichś akcjach, dotykały ludzi starszych, to oni na szczęście nic nie wiedzieli o wydarzeniach i nie mogli zdradzić, bo nic nie wiedzieli. Oczywiście, przy warunkach i metodach, stosowanych zwłaszcza w obozowych więzieniach, trudno być bohaterem, żeby nie zdradzić, jeżeli się wie. Czasami mówi się o bohaterstwie, ale jak wiem z własnych nawet doświadczeń, to trudno ręczyć, żeby człowiek potrafił być bohaterem. Łatwiej być bohaterem na polu walki zbrojnej, niż w tego rodzaju kazamatach. Ale w każdym bądź razie udawało się dosyć długo wobec administracji łagru zachować struktury konspiracyjne ruchu oporu bez zdemaskowania. Mimo podejmowanych przez ruch oporu działań w grupach narodowościowych.

W paru słowach o tych grupach narodowościowych należałoby uściślić. Większość kontyngentu obozu stanowili Ukraińcy; orientacyjnie w kingirskim obozie i w wielu innych, w których przebywałem potem, w syberyjskich obozach [miejsce niesłyszalne; zła jakość nagrania] stanowili około 60% (w mojej ocenie). Następną grupą byli ludzie z republik nadbałtyckich - Litwy, Łotwy, Estonii; trochę [z] Mołdawii. Polska grupa była niezbyt liczna, ale o dosyć zróżnicowanym

składzie, bardziej, niż w innych grupach narodowościowych. Grupy kaukaskie, grupy rosyjskie, byłych własowców, opozycji już noworysującej się, intelektualnej przeciwko stalinizmowi, opozycji z czasów wcześniejszych, od czasów "jeżowszczyzny" nawet, wiele ciekawych osób, o bardzo interesujących życiorysach przewijało się przez obóz ... Polska grupa, jeżeli chodzi o liczebność jej była na jakimś szóstym, siódmym miejscu. Ale wśród Polaków była część oficerów Wojska Polskiego, byli księża, trochę młodzieży szkolnej i dosyć dużo chłopców z partyzanckich oddziałów Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny, lwowskiego. Często chłopcy ze wsi, ale bardzo patriotyczni, bardzo oddani, bardzo wartościowi. Dlatego też polska grupa, mimo, że była nieliczna, odgrywała dosyć dużą rolę z uwagi na jej prężność intelektualną. W kingirskim obozie, po utworzeniu tych grup i ośrodków, rozpoczęto organizować cały system, wzorując się na pewnych formacjach konspiracji. Były utworzone grupy do akcji zwalczania prześladowców, grupy samopomocy, grupy propagandowo-informacyjne. I grupy kontrwywiadu, bo przecież trzeba się było zabezpieczyć przed infiltracją. Ponieważ struktury narodowe, więc oparto to na narodowych grupach.

Wydaje mi się, że w kingirskim obozie, o którym wiem najwięcej, zresztą później w syberyjskich to się powtarzało, dosyć interesującą sprawą w organizowaniu ruchu oporu było to, że wszelkie egzekucje w stosunku do własnych rodaków wykonywano tylko we własnej grupie, przez własnych ludzi; żeby nie dopuszczać do jakichkolwiek starć między grupami narodowymi. Chociaż zdarzały się różne wypadki; nie chcę mówić o wypadkach odchyień, ale zasada taka zdawała dosyć dobrze egzamin. Jeżeli z jakiejś grupy narodowej wpływało doniesienie, informacja przez łącznika, że ktoś się zachował niewłaściwie czy jest nawet podejrzanym; albo kontrwywiad ustalił, że poszedł na współpracę z władzami obozowymi, to wykonanie egzekucyjnych działań pozostawało w gestii tej grupy narodowościowej, z której wywodził się więzień, przeciwko któremu zarzuty podnoszono. Grupa mogła go bronić, wyjaśniać, ustalać okoliczności, że nie jest winien; bądź też winna była przyjąć, że jest winien i podjąć właściwe kroki. To dosyć żmudna i niebezpieczna gra, ale taką grę się

proceedziło.

Obóz (łag-otdzielenie) dzielił się na łag-punkty, a każdy łag-punkt jeden od drugiego był zupełnie izolowany - zoną ogniową, czyli zoną podlegającą ostrzałowi ze strony strażników, trzymetrowej wysokości mury i druty kolczaste. Łączność niezmiernie trudna; przerzucanie listów, czasem spotkanie jakieś w ramach szpitala, więzienia wspólnego, obiektów wspólnych, różne sposoby do tego były wykorzystywane. Było bardzo charakterystyczne, nawet, powiedziałbym, z serii "wisielczego humoru", korespondencja męska z kobietami w żeńskim obozie. Była często nawet niebezpieczna dla ruchu oporu; ludzie w korespondencyjną miłość się zabawiali i gotowi byli często pisać o sprawach, o których nie powinni - listy mogły trafiać w ręce radzieckich kagiebiów. Stąd też w punktach, przez które listy takie przesyłano, próbowaliśmy nawet cenzurę własną ustalać, żeby w ten sposób ochraniać się przed tego rodzaju niespodziankami.

Tak funkcjonujący system został poważnie wstrząśnięty wydarzeniami lat 53. W tym czasie zdarzało się często, że do więźniów straż strzelała w obiektach pracy. Trudno nawet określić takie przyczyny, ale jedną z nich mogła być chęć uzyskania przez żołnierza przepustki za to, że uniemożliwił ucieczkę. Bo były wypadki rzucania machorki czy chleba do strefy ogniowej, która podlegała ostrzałowi; strażnik rzucał, więzień podchodził, żeby wziąć, w dobrej wierze, a ten wówczas strzelał, że udaremnił ucieczkę. O tym wspomina zresztą Sołżenicyn w swoich wspomnieniach; ja byłem osobiście świadkiem tych zdarzeń. Ale były i inne. W końcu doszło do jeszcze bardziej drastycznych, już w 53 r. w lipcu, już po śmierci Stalina. Doszło do bardzo ostrego ostrzału kolumny wracającej z pracy, przez strażników konwojujących, gdzie były ofiary. Na tego rodzaju działania straży obóz odpowiadał strajkiem generalnym. Administracja próbowała strajk złamać. I były różne losy tych strajków.

Tego rodzaju strajki z jednej strony mobilizowały ludzi, konsolidowały, ale z drugiej strony sieć organizacyjną demaskowały, mimo wszystko.

Po takich strajkach były stosowane izolacyjne więzienia; w obozie były jeszcze wewnętrzne więzienia, dosyć dokuczliwe

- cele śmierci wewnętrznego więzienia były takiej szerokości, że nie było można rąk wyprostować, a miejsce tam było tylko na kibel i pryczę, nawet nie można było kroku zrobić. Jedno okienko pod sufitem, przez które powietrze tylko docierało. Pobyt w takim izolacyjnym grobie, często trwający długo, był naprawdę bardzo dokuczliwy. Zdarzały się wypadki skazywania na karę śmierci i rozstrzelania za działalność tego rodzaju. Działalność często obejmowała również i akcje rzeczywiście terrorystyczne; po to, żeby się chronić od działalności agenturalnych wstawek albo działalności zbrodniczej brygadzystów, zostały zorganizowane grupy, które podjęły akcję likwidowania, korzystając z czasu, kiedy w Związku Radzieckim w pewnym okresie wprowadzono zniesienie kary śmierci. Mający wyroki 25 lat pozbawienia wolności i tylko rozpoczynający te wyroki byli praktycznie bezkarni. Tych, najczęściej młodych, byłych partyzantów upowców czy innych można było szybko przekształcić w terrorystyczną grupę likwidacyjną agentów i brygadzystów. Doprowadziło do tego, że w kingirskim obozie brygadziści uciekali pod ochronę straży, i niektórzy agenci strachliwsi. W związku z tym potem brygady tworzone nie na zasadzie naznaczania, ale administracja, nie mogąc znaleźć chętnych na funkcję brygadzysty proponowała, żeby brygada sama sobie wytypowała brygadzystę, a to już zmieniło radykalnie warunki życia w łagrze. Ale to się wszystko załamało po kolejnych strajkach, strzałach, prowokacyjnych.

Znalazłem się w kręgu podejrzanych, w wyodrębnionej grupie, i zostałem wywieziony z obozu kingirskiego wagonami więziennymi w nieznanym znowu kierunku; trudno było przewidzieć, czy nie znajdziemy się w obiektach specjalnych, z których już nie ma powrotu do życia. Wiosną 1954 r. Już od marcowych ostatnich ostrych strajków, po strzelaniu ludzi na obiektach, w tartaku i budowie kombinatu metalurgicznego, po kolejnym strajku już nie wyszedłem więcej z więzienia obozowego, a zostałem skierowany na transport odjeżdżający w dalszą drogę. I tak pożegnałem Kengir, w początkach kwietnia 1954 r., po pobycie w nim od listopada 1948.

W kwietniu, w dosyć doborowym towarzystwie, chyba 19 osób, wywieziono nas - przez etapowe więzienie, Czelabińsk,

Kujbyszew, tym razem. Ale to był już okres po śmierci Stalina, pewnych załamania w samym aparacie, więc warunki samego nacisku (oprócz tych akcji strzelań z nieznanymi powodów) ze strony samej administracji, były już trochę łagodniejsze, a w każdym razie oni byli wyraźnie skonsternowani. Rosjanie zwłaszcza, więźniowie, przebywający w obozie ~~Z~~ byłej opozycji partyjnej czy byli oficerowie, występowali zawsze ... Im było łatwiej, bo występowali jako Rosjanie i radzieccy obywatele, więc nie można im było zarzucić, że to obcy agenci coś czynią. Zawsze ich wysuwano do przodu i oni wówczas atakowali słownie NKWDystów, pułkowników, zarzucając im powiadając -"cóż, pod waszymi złotymi epoletami są amerykańskie dolary zaszyte; wasz wódz Beria był szpiegiem amerykańskim, to kim wy jesteście? To wy jesteście wrogami ludu". Szczegółenie pamiętam taką "dyskusję" z Kujbyszewa, bo takie ostre incydenty tam miały miejsce.

Cały czas, od 49r. nosiliśmy mundury numerowane. Mieliliśmy wycięte dziury na plecach, kolanach, czapkach i wszyte białe płótno z czarnymi literami, z numerami. Wszyscy byliśmy numerowani; wzywano i zwracano się [do nas] numerem. Tacy numerowani jechaliśmy właśnie w tym ostatnim transporcie. Między innymi ze mną jechał Zorka Teno, o którym pisze Sołżenicyn w "Archipelagu GUŁag", Estończyk, kapitan żeglugi wielkiej radzieckiej marynarki, później długoletni więzień radzieckich łagrów. Jechał ze mną również Niemiec, wywodzący się chyba z Hamburga; sądzę, że był to oficer Abwehry. Mówił świetnie po rosyjsku, nazywał się popularnie Jurka, a to był Dietrich Arfman. Tych parę osób pamiętam z grupy, którą filtrowały władze bezpieczeństwa łagru i odwoziły nas do zamkniętego zakładu karnego.

Przywieziono [nas] do Moskwy; tu ludzie byli odważniejsi. Na peronach zazwyczaj, gdy prowadzono więźniów, nikt się nie zatrzymywał. Ludzie udający, że nie widzą eskorty, NKWDystów. A tu, po raz pierwszy, w 54r. w Moskwie, próbowali konwojujący odpędzać ludzi, ale tłum narastał, nie uciekał. (NKWDyści mają czerwone otoki.) Tłum nie uciekał, przyglądał się, a my nie dawaliśmy zdjąć sobie numerów; mówiliśmy, że jak tyle lat chodziliśmy numerowani, to

pokażcie nas publicznie. W Moskwie zdążyłem odpruć parę łatek numerowych, czułem, że tak to się skończy; ubrania nasze zabrano, w łaźni, w czasie odwszania, i więcej już numerowanych nie dostaliśmy. W ten sposób pożegnaliśmy się z numerami.

Po krótkim pobycie w więzieniu moskiewskim, sądzę, że było [to] Lefortowo (trudno dziś określić), później etapowe Krasna Presnia, zostałem przetransportowany w maju 54 r. do zamkniętego więzienia Władimir nad Kłazmą; to jest około 200 km. za Moskwą na wschód. Więzienie usytuowane w byłych budynkach klasztornych. Rozbudowany, potężny zakład karny, w którym przebywało wiele znanych osób. Tam byli więzieni członkowie rządów republik nadbałtyckich, z okresu międzywojennego, cesarz Mandżukuo, który trafił po zakończeniu wojny z Japonią, nasz wicepremier rządu Jankowski, który zmarł tam, jeszcze w parę miesięcy po moim przybyciu - on zmarł w marcu, jak widzę z dokumentów obecnie, a ja przybyłem tam w maju.

Więzienie sprawiało imponujące wrażenie. [Było to] więzienie "uporządkowane", wyraźnie będące "oczkiem w głowie" władz centralnych. Zawsze po przywiezieniu i wyładowywaniu z samochodu - więźniarki, zwanego "czarny kruk", "czarny woron", były dzikie okrzyki "bystriej! podtienis!" ("szybciej! podciągaj się!"). A tu po otwarciu drzwi oficer powiedział - "pa maleńku, nie tarapities!", co wywołało w nas wybuch prawie śmiechu. On zdziwiony, czego się śmiejemy? Jesteśmy zaszokowani nagłą, niespodziewaną zmianą: zamiast krzyku raptem grzeczny ton - "nie spieszcie się". Korytarze pięknie wysłane chodnikiem czerwonym, cichutko. Wprowadzono nas do dużej sali, która dookoła, przy ścianach, miała małe szafki. Tam się mieścił tylko człowiek ze swoim tobołkiem; u góry lampka się pali, zamknięte na zatraskowy zamek. Natychmiast wszyscy zostaliśmy zamknięci w szafkach. Odtąd już nigdy nikogo z tych ludzi, z którymi przyjechałem, nie zobaczyłem.

Z tej szafy później pojedynczo wywoływano. Krótka rozmowa i przekazanie więźnia do dyspozycji konwojenta, który odprowadzał do celi. Wrażenie sprawiało duże - bloki klasztorne, pustka pełna, asfaltowe ulice, zamknięte "namordnikami", koszami, okna. Strażnik - jeden na przedzie,

drugi z tyłu - stuka kluczem w klamrę, żeby na zakręcie nie spotkać jakiegoś innego więźnia. Na każdym zakręcie stoją szafki, do których, w razie usłyszenia stukania, zamykano, żebyś nie zauważył, kogo prowadzą. Tak ścisła izolacja.

Gdy dotarłem do przeznaczonego mi budynku, gdy prowadzono mnie do celi, zauważyłem wysokie szarże - funkcjonariusze, stojący na korytarzach, w stopniu nie niższym sierżanta, a w dyżurce co najmniej porucznik, kapitan; oficerski korpus. Cella o oknach wysokich, matowym szkłe, wbetonowanym w posadzkę stoliku, zamykanych do ścian łózków. I tablica z zasadami pobytu więźnia. Ubawiło mnie pierwsze wrażenie: pusta cela, sam wprowadzony czytam regulamin, w którym napisane, że nie mam prawa posiadać kompasów, map i broni. [śmiech] Po takim wyczyszczeniu, po tylu latach, przeczytanie czegoś podobnego było naprawdę zabawne.

Wkrótce do tej celi zostali przywiezieni jeden Polak i dwóch Ukraińców. Łącznie była nas czwórka; w celi spędziliśmy cały rok, w warunkach - w porównaniu z obozami - bardzo przyzwoitych. Raz na 10 dni bibliotekierka przynosiła książki, bez możliwości wyboru. Na celę, na cztery osoby, limit; obojętnie - rolnicze, powieść. Tadeusza Dołęgi-Mostowicza po rosyjsku wtedy czytałem, wiele innej literatury, np. zabronionego wówczas Jesienina. To były książki skonfiskowane, umieszczone w więziennej bibliotece; uważano, że t y m ludziom już nie mogą zaszkodzić, tak są już zepsuci. Z tym, że wybrać z tego nie można. Dzieła Lenina czytałem, wszystko po kolei, o nawozach sztucznych, inne rzeczy; co tylko trafiało do celi. To były warunki, powiadam, dosyć eleganckie w porównaniu z marnym, strasznym życiem obozów. Tu nawet początkowo była bardzo ścisła izolacja, że w ubikacji z papierka do podcierania trzeba było się rozliczyć wobec strażnika, żeby czasem papieru do celi nie przynieść. A później się raptem zmieniło, nie wiem, co się stało. Chyba jesienią 54r. pozwolono nawet w kantynie zeszyty kupować i ołówki. Czasy się zmieniały.

Po tym okresie pobytu monotonnego dosyć, ale w warunkach... Nareszcie poczułem się dowartościowanym więźniem. Zamknięta cela, dziennie tylko 20 - 30 minut

spaceru w zamkniętym boksie; żadnej pracy.

Chyba w marcu 55 r. zostałem wezwany po raz pierwszy przez jakiegoś funkcjonariusza prokuratury chyba, bo w cywilu. Zapytał mnie, czy nie chciałbym wrócić do obozu. Pobyt w celi dowartościowujący, ale jednak brak powietrza, brak ruchu, na dłuższą metę... Zacząłem rozważać. Szereg ludzi już odjechało. Oświadczyli, że zostaliśmy tu karnie umieszczeni za nieprzestrzeganie regulaminu pobytu w obozach, ale już karę żeśmy odbyli i możemy skorzystać z prawa powrotu. Zwłaszcza, że w obozach wprowadzono zasadę zaliczania - za dobrą pracę skracano czas pobytu (tego nie było przedtem). Podano nam to do wiadomości, proponując, że mamy możliwość. Nie bagatelna szansa. Oświadczyłem wówczas, że ze względu na wydarzenia, które miały miejsce w łagrach południowych, skąd mnie przywieziono, i jak słyszałem, północnych - bo były w Workucie podobne wydarzenia i w Norylsku, nie chciałbym znaleźć się w podobnych warunkach. Wówczas cywil, rozmawiający ze mną, powiada - "no dobrze, mogę wam zaproponować między Uralem i Bajkałem; ani północ, ani południe" Mówię - "zgoda". W takim zakresie osiągnęliśmy porozumienie i wyruszyłem przez kolejne więzienia etapowe na wschód.

Pierwsza etapowa droga: Władimir - Niżnyj Nowgorod, wówczas zwany Gorkij. Jechałem w wagonie więziennym, w stołypinie. W sąsiednim wagonie z przestukiwania morsem przez cele czy z przekrzykiwań zorientowałem się, że w jakimś dalszym przedziale "jadą Palaki". Byłem zainteresowany - prawdopodobnie spotkam rodaków. Tymczasem okazało się, że "palaki" to są złodzieje, wyznający zasady polskich złodziei. [śmiech] O tym dowiedziałem się już w więzieniu w Niżnym Nowgorodzie, kiedy wyładowano nas z wagonów i przywieziono na podwórze więzienne. Z takimi "rodakami" nie chciałem nawiązywać kontaktów.

Pobyt w Niżnym Nowgorodzie, w ogólnej celi, nie trwał zbyt długo. Następne etapowe więzienie Kirow (Perm obecnie chyba), potem znowuż Swierdłowski, następnie daleka droga aż do Nowosybirska. W końcu z etapowego więzienia nowosybirskiego do Tajszetu. I przesylne więzienie w Tajszecie, rozpoczynające drogę do systemu obozów OZIOR-łagu,

czyli nadbajkalskich, od słowa "jeziro" (jeziro Bajkał); czyli od Transsyberyjskiej Magistrali w Tajszezie do budowy brackiej elektrowni wodnej Ges na Angarze. Dostyc drobne obozy, nie tak wielkie, jak kazachstańskie, ale punkty, kolonie obozowe, rozrzucone wzduz całej trasy kolejowej w tajdze.

Wspanialy czasem widok z wyzszezo punktu - jak morze bezgraniczne lasu. I straszliwie dokuczliwa meszka, wzerajaca sie w oczy, w usta, wszedzie; potworne zjawisko. Ale to bylo pozniej.

Na razie znalazlem sie w Tajszezie, w przesylnym wienzeniu. Z tego na oboz - cegielnie. Tu juz spotykalismy sie z roznych innych lagrow, z zamknietych wienziez. To byl rok 55, maj. Warunki zycia, w porownaniu z kazachstańskimi, znacznie bardziej liberalne. Nawet materialnie lepsze; juz byly pewnego rodzaju zasady zarabiania, formalnej odplatnosci - po potraceriu naleznosci za to, ze nas ochraniaja, ze karmia itd. przydzielano jakies sredki do zakupow w kantynkach obozowych. Mozna to traktowac jako ogromny postep w naszym zyciu obozowym. Ponadto zaczely sie tam tworzye zbiorowiska tych, ktorzy trafili z innych obozow, wienziez. Czesto sie spotykalo starych znajomych, z roznych lat. Warunki juz nie byly tak tragiczne, jak pierwsze lata kazachstańskie.

W tym obozie - cegielni pracowalem do jesieni 55 r. Jesienia oboz ten zostal zlikwidowany czy przekazany kryminalnym przestepcom, a caly kontyngent nasz, polityczny, zostal przewieziony do wielkiego tartaku na tej samej trasie, miedzy Brackiem, do Czuny. W tej miejscowosci Czuna przebywalem juz do dnia zwolnienia z obozu. W miedzyczasie rodzice moi, w 55 r. w grudniu, otrzymali zezwolenie opuszczenia goscinnej syberyjskiej ziemi i wyjechali transportem wracajacym do Polski. Przed wyjazdem zezwolono im na widzenie w obozie. Mialem widzenie - pozegnanie z rodzicami odjezdzajacymi do Polski; ja jeszcze pozostawalem. Mialem wowczas zlamaną reke, w czasie pracy fizycznej. Pozostawalem w Czunie.

W Czunie, jezeli chodzi o warunki pracy, tez bylo znacznie lzej, poza tym to byly juz duze lata doswiadczesz

życia obozowego, które ułatwiały. Dotrwałem tak do czerwca 1956 r. W czerwcu 1956 r., w zasadzie, uwzględniając czas mojego pobytu i postanowienie o skazaniu na 10 lat i zaliczeniu pewnych dni pracy, skończyłem odbywanie kary. Ale nikt mnie nie zamierzał zwolnić. Zwłaszcza, że zdarzały się liczne wypadki wzywania do komendantury i zawiadamiania, że przedłużono na następne 10 lat. Nie było żadnej pewności, że akurat to się skończyło.

Już od 55r. byłych obywateli polskich, którzy mieli wyraźne obywatelstwo w momencie aresztowania, zbierano z obozów, akta zabierano do przejrzenia. Były to sygnały, że coś się dzieje w kierunku nadziei. W tym czasie w obozie spotkałem tegoż samego pana Leona Łosia, z którym rozstałem się w Kengirze w 48r., w listopadzie. Leon Łoś - były zastępca szefa BIPu białostockiego okręgu AK, dwunastoletni więzień łagrów radzieckich.[...]

Oczekiwanie na zwolnienie Polaków, nie wiadomo nic; pogłoski, plotki. Już było po XX zjeździe partii; Chruszczow rozpoczął akcję rehabilitacyjną w szerokim zakresie. Przybyły komisje, składające się z przedstawicieli nawet byłych więźniów politycznych, zwolnionych wcześniej, i przeprowadzały wielkie akcje rehabilitacyjne w roku 56. Tu te rehabilitacje, a ja po odbytych wyroku siedzę i nikt mnie nie zwalnia. Skorzystałem z okazji, że się pojawiła taka komisja w łagrze, przedarłem się przez strażników, stanąłem przed obliczem komisji z pretensjami. Byłbym przepędzony srodze, ale w składzie komisji była była więźniarka, Ormianka jakaś. Zatrzymała ich, zainteresowała się, zapisała moje nazwisko. Odniosło to jakiś skutek, bo w ostatnich dniach czerwca zostałem sfotografowany.

Dowiadujemy się z głośników i "radiotoczek", że "w Poznaniu kontrrewolucyjny bunt". Przychodzą niektórzy nam gratulacje składać, ale my sobie myślimy, czy nam przypadkiem ten "bunt" drogi do wolności nie zamknie. No, ale trudno, przyjeliśmy to z dużym zadowoleniem. Szczęśliwie nie zaszkodziło.

30 czerwca zostałem wezwany z rzeczami z łagru do komendantury. Zapytano, gdzie się wybieram. Powiadam, że oczywiście do Polski, przecież rodzice moi są już w Polsce.

- "Nigdzie nie pojedziesz, do żadnej Polski, bo w aktach twoich jest postanowienie o dożywotnim zesłaniu. Pojedziesz w związku z tym zgodnie z decyzją władz. Jak jesteś niezadowolony, to możesz pisać skargę do ambasady. Teraz nowe czasy idą..." Dobrotliwie nawet bardzo.

Ponadto zastosowano wielkie rygory liberalizmu; na zesłanie nie wieziono więźnia pod konwojem, a wydawano mu "marszrutnyj list", kartę zwalniającą. Z odcinkiem, z którym się trzeba zameldować w komendanturze NKWD obwodu, do którego jesteś skierowany, na ten czas bilet kolejowy wykupiony przez nich i jeszcze pewną kwotę pieniędzy na wydatki drobne, na zakupy żywności. Dawniej to można było pod konwojem, etapowymi więzieniami, aż do posterunku; tam przekazywano. A tu już pełny luz.

Pierwszy dzień wolności, 30 czerwca 1956 r. Wyszedłem poza bramy obozu, do odejścia pociągu zostawało jeszcze dużo czasu; w południe już byłem wolny, a pociąg odchodził dopiero późno wieczorem, gdzieś po dwudziestej. W pobliżu obozu spotkałem wcześniej zwolnionego jednego z rodaków. Po przywitaniu [oni] powiada - "to idziemy na dziewczyny". Jakaś ciężarówka po drodze, pojechaliśmy do miejsca, gdzie dawniej był obóz. Już nie ma drutów, tylko baraki poobozowe, pełne kobiet, które pracują na wyrębie lasu. Zsylnie, tubylcy, trudno określić. Do sosny na ogromnym łańcuchu przykuty niedźwiedź, zamiast psa; do cedru syberyjskiego - egzotyczny obrazek. Dużo wódki. Przerażające trochę wrażenie, w barakach... Przeprowadzają taką kobiecinę dosyć zmarniałą, mówią, że Polka. Pytam, skąd? Ona po polsku nie umie mówić, parę słów tylko. Przyniosła zawiniątko, z które wygrzebała kartkę - dokumenty po zmarłej matce; wywodzą się z pod Łodzi, dokładnie nie pamiętam. Opowiada, że jak matka jeszcze żyła, to mówiła, że wyjechały na wakacje w 39r. do wuja na Wołyń i już nie wróciły. Zostali - wuj, matka i ona - wywiezieni na Syberię. Ona tułała się po domach dziecka, więc po polsku nie umie, bo się nie nauczyła; tylko to zawiniątko jej zostało. Zniszczone to straszliwie. Namawiałem, żeby podjęła próbę wyjazdu do Polski, ale - mówi - "gdzie? do kogo? po co? Raczej nie".

Ani mi wódka nie szła, ani dziewczyny, nic; szybko

urwałem się stamtąd.

Zostawało jeszcze trochę czasu, odwiedziłem była księgową, na zesłaniu, Finkę, z Karelofińskiej republiki. Bardzo uczciwa kobieta, która ryzykując wyносиła nam nasze listy poza strefę obozu, z obiektu pracy. Wstąpiłem, żeby jej podziękować, poczęstowała mnie herbata. Do pociągu i wyruszyłem do stolicy obwodu, do Irkucka, gdzie zameldowałem się w komendzie NKWD, w dziale dla cudzoziemców. Naczelnik tego oddziału, w stopniu majora, pozwolił mi wypełnić dokumenty potrzebne do zwolnienia mnie z obywatelstwa radzieckiego na wyjazd do Polski, ale niczego nie obiecując, bo jestem zsylny, więc nic mnie nie obowiązuje. Tam napisałem podanie o uchylenie zesłania, do Moskwy, tak, jak mi radzili. On skierował mnie do miejsca odbywania zesłania, do miejscowości Przybyłem w oznaczonym dniu i godzinie, bo czas był wskazany, musiałem się zameldować o tym czasie. Nie przybycie w czasie oznaczałoby ucieczkę, za co można było karać. Pociąg przybył wcześniej rankiem, musiałem ze stacji kolejowej do tej miejsciny kawałek spacerkiem przejść, ale to było w lipcu, przyjemnie, piękna Syberia, kwitnąca, lipcowa. Dotarłem do miejscowego posterunku. Na schodach, ponieważ było zamknięte, usnąłem. Obudził mnie, nogą, NKWDysta, lejtenant, który powiedział: -"człowieku, wstawaj! po co tu jesteś?" Ja mówię -"do domu przyjechałem rodzinnego, gdzież mam więcej się zgłosić?" Zapisał mnie do wykazu; mam się raz w miesiącu zameldować, nie mam prawa nigdzie wyjeżdżać - i wszystko, "możesz iść". Pytam - dokąd? co mam robić? gdzie mam żyć? Zaklął "matem", po rosyjsku, i mówi -"u nas bab mnogo, żenis" Jedyna wskazówka życiowa, jakiej mi udzielił.

Byłem głodny diabelnie, po wyjściu z komisariatu zacząłem rozważać dylemat: po to, żeby coś zjeść, trzeba ukraść. Za to mogą mnie posadzić. Jak nie ukradnę, to nie będę miał co jeść. Słoneczko przygrzewało. Leżąc na przyzbie syberyjskiej chaty i rozważając te dylematy, zauważyłem przechodzące kobiety, mimo woli. Taką blondynę zauważyłem, myślę - chyba Litwinka. Ze znam język litewski, więc zapytałem ją po litewsku; ona natychmiast zareagowała, zaprowadziła mnie do osady zsylnych Litwinów. Okazuje się, że ponieważ to był rejon, w którym moi rodzice byli na zesłaniu,

znalazłem nawet [ludzi] znających moich rodziców. Rozpocząłem mój żywot zesłańca, zsylnego.

W następnym dniu zostałem zatrudniony w fabryce remontowej maszyn rolniczych. Jako, że zsylnego nie można było zatrudnić na żadnej pracy umysłowej, a kwalifikacji w zasadzie również nie posiadałem do prac fizycznych szczególnych, zostałem zatrudniony w odlewni żeliwa. Jeden piec do wytapiania złomu metali - ręcznie ładowany, ręcznie roznoszony metal roztopiony do foremek. Po jednym dniu takiej pracy, bez jakiegokolwiek odzieży ochronnej... Iskry odbijają się od ciała - najbezpieczniej, bo koszulka pali się, więc lepiej być nago. Nawet gotowanej wody tam nie było. Od gazów, od tego wszystkiego, po pierwszym dniu już czułem się ... niezadowolony z wolności, szczerze mówiąc. W dodatku nie było gdzie się umyć. Spodnie ochronne, jedyne, jakie miałem, miały wypalone zupełnie kolana, w związku z tym obracałem je odwrotnie, tyłem do przodu; jedyna ochrona kolan od popalenia metalem pryskającym z pieca. Grafitowe podkłady do form, pot, więc człowiek jak diabeł brudny i nie ma gdzie się umyć. Na szczęście lipiec, więc do rzeczki miejscowej, błotem, wycieranie się i mycie. Gospodyni, u której mieszkanie wynająłem - jeszcze pieniędzy nie miałem, ale zgodziła się poczekać na pierwszą zapłatę - nie chciała mnie wpuścić do żadnego łóżka i pokoju, tylko na strych, bo takiego brudasa gdzież można wpuścić. Niewesołe to był życie.

Lipiec, sierpień i pół września przeciągnąłem na tej pracy. We wrześniu wezwany zostałem do komisariatu, gdzie zawiadomiono mnie, że z Moskwy przyszła decyzja o uchyleniu decyzji o zesłaniu, z uwagi na wyjazd rodziców do Polski. Uzasadnienie, co prawda, dziwne. Niekonsekwentnie, bo nie wyjazd do Polski, ale zaproponowano mi prawo powrotu do Wilna i zostanie obywatelem radzieckim, pobranie radzieckiego dowodu osobistego. Nie skorzystałem z propozycji, więc stałem się bezpaństwowcem. Nie przyjąłem dowodu osobistego, nie uzyskałem zezwolenia na wyjazd, ale i nie byłem zsylnym. Ni pies, ni wydra.

Dyrekcja fabryki uznała to za wielki awans i pozwoliła mi pójść na kurs tokarzy. W metalurgicznym zakładzie, po zakończeniu kursu, rozpocząłem pracę tokarza. To już było

znacznie lepsze - i zarobki były inne, i warunki życia uległy pewnej poprawie. Rozpoczęła się jesień, syberyjska zima, bo we wrześniu już właściwie śniegi dosyć głębokie. Październik - i tu wizyta Gomułki [sic!] w Polsce i nowa repatriacja. Komunikaty w prasie radzieckiej się pokazały; gazetę w kieszeń, do komendanta komisariatu o zezwolenie. Mimo, że nie jestem zsylnym, ale nie mam dokumentów (miałem zaświadczenie zsylnego, mam je do dziś, ale tym się nie mogłem legitymować w jeździe). Uzyskałem takie zezwolenie i pojechałem do Irkucka, do tejże komendantury, gdzie wypełniałem w lipcu prośbę o zwolnienie z radzieckiego obywatelstwa, które jakiś "czort nagradił" (diabeł obdarzył). Dotarłem do Irkucka, z gazetą o repatriacji. Przyjechałem ze swoim waciakiem i położyłem się; spałem na korytarzu w budynku irkuckiego NKWD. Obudzono mnie rano, z pretensjami - bo to nocny pociąg przyszedł - dlaczego tu się ulokowałem? Powiadam, że nie mam gdzie indziej mieszkać, więc chyba tutaj będę stale nocował. Wezwał mnie oficer później do pokoju, mówi - "nie, stale nie można tu nocować, ale w pobliżu Irkucka są polskie rodziny; tu jest wykaz." Pokazał mi listę osób, żebym zobaczył, czy nie znajdę kogoś ze znajomych. Nie bardzo wiedziałem, czy to dobrze, czy źle, ale nie było lepszego wyboru. Spojrzałem, zobaczyłem nazwisko pani Rzewuskiej, z Kolonii Wileńskiej, znanej mnie trochę z okupacyjnych lat. Wybrałem ten adres; on pozwolił mi pojechać, każąc wrócić za tydzień. Dotarłem do tej pani, okazuje się - jej córka wróciła z łagrów, Krysia Rzewuska (teraz chyba w Anglii mieszkają). Bardzo serdecznie spędziłem ten tydzień. Ta pani była zsylną i pracowała w szpitalu dla psychicznie chorych, pod Irkuckiem. Miałem możliwość skorzystać z gościnności tych pań [...]

Po tygodniu dotarłem do Irkucka; ten sam oficer powiedział mi - "już mam dokumenty, możecie jechać do Polski."

Wróciłem do swojej fabryki rozliczyć się z należności, jakie mi przysługiwały, żeby wystarczyło na kupienie biletu, bo nikt biletu nie daje. Wszystko, co miałem, jakieś łachy, ciuchy, trzeba było sprzedać. Kupiłem bilet. Pociągiem pospiesznym Ułan-Bator - Moskwa dotarłem do Moskwy. Tam przerwa w podróży; spotkałem podobnego do siebie wracające pana, już nie pamiętam nazwiska. On powiada, że w Moskwie

można skorzystać z pomocy w ambasadzie polskiej. Ruszyliśmy w poszukiwaniu ambasady, znaleźliśmy na ulicy Tołstoja. Tam było bardzo dużo ludności mówiącej po żydowsku, aż nas przestraszyło - czy pod właściwy adres trafiliśmy. Ale okazuje się właściwy; dostaliśmy się przed oblicze pełnomocnika do spraw repatriacji, pana Penera - Kalinowski był pełnomocnikiem, Pener dyrektorem biura. Pan Pener nam po 50 rubli wyasygnował, to starczyło na kupienie biletu do Brześcia i jeszcze na zjedzenie kolacji. Pożegnałem się z tym panem, który pojechał na Medykę, ja na Brześć. Dotarłem do Brześcia i 8 grudnia 1956 r. przekroczyłem granicę na Bugu, w pociągu podstawionym do Brześcia, w polskich wagonach, i zgłosiłem się na punkcie repatriacyjnym w Terespolu.

Wobec tekstu, który został nagrany, zastrzegam prawo autorskie. Bez mojej zgody proszę go nie wykorzystywać.

Spisane przez Małgorzatę Strasz
w czerwcu 1991 roku